

S. FOERSTER-STREFFLEUR.

## Syn pana Liuweikwei.

Tuzin niemal małych chińskich dziewczynek skacze i zatacza się z wesołym śmiechem i przyjaznym wyrazem twarzy — czekają wokół nas.

Jesteśmy u postępowo usposobionej rodziny Liu z wizytą i młodsze dziewczeczki nie mają już związanych nóżek, podczas gdy starsze: dwie latorośle musiały się jeszcze we wczesnej swej młodości procedurze tej poddać.

To też teraz z trudem za rodzeństwem zdążają.

Najmłodsze trzymają się mocno fałdów sukni, towarzyszących im kobiet, których stosunek wzajemnego pokrewieństwa pozostanie na zawsze tajemnicą dla nas, wobec tego, że na wszelkie nasze pytania — która z nich jest szczęśliwą matką miłych dzieci — otrzymujemy tylko stłumiony chichot w odpowiedzi.

Pan Liuweikwei, młodszy urzędnik obwodu Ningpo, zaprosił nas do Kinnwu w celu odwiedzenia jego rodziny. — Z wielką radością zaproszenie przyjęliśmy, sposobność bowiem poznania surowo zamkniętego życia rodzinnego Chińczyków, — bardzo rzadko się zdarza.

Dzieci szczególnie budziły naszą ciekawość. Pan Liu bowiem na nasze pytanie odparł, że ma jednego syna tylko, co do imienia jego i wieku jednak nie raczył nas poinformować.

Mieliśmy zatem z synkiem tym znajomość zawrzeć; inne dzieci też się pewnie zjawia; czyż w tym kraju bowiem nie spotyka się po domach dzieci gromadnie?

Kinnwu jest to wioska w górach na południu od Ningpo; towarzystwo nasze zmierzając ku niej piękną lesistą drogą. Jasnozielone bambusowe gaje w czarującym kontraście z ciemniejszą zielenią drzew liściastych oraz mrocznymi sylwetkami świerków i cyprysów w kalejdoskopowym korowodzie wiodą nas do celu.

Rodzina Liu mieszka niedaleko starego klasztoru budhystów, w czystej i wesołej jasności barw willi własnej.

Przyjmuje nas głębokimi ukłonami i uroczystą przemową sam gospodarz domu. Podczas kiedy mężczyźni idą obejrzyć świątynię wraz z okolica Kinnwu, damy mogą przez cały dzień wśród żeńskich członków rodziny pozostać.

Stoimy zatem w ogrodzie pani Liu w wiązku małych dziewczynek. Na pytanie, gdzie jest synek pana Liu, słyszymy znowu chichot w odpowiedzi. Nikt się już w końcu nie interesuje tajemniczą istotą, której ani rusz poznać nie można, inne bowiem dzieci absorbują uwagę, a jest ich sporo.

Może chłopiec stoi zbyt wysoko, aby się z dziewczynkami bawić — tyle słyszymy przecież o nierówności płci w Chinach! U starych klasyków czytamy wszakże, że syny w Chinach w purpurze, jedwabiu i złocie się rodzą, by nad światem panować, có-

ry zaś w grubym, szarym płótnie, by w kuchennych sprawach się ćwiczyć i czoła rodziców chmurą nie troszczyć.

Nie należy jednak słów tych brać dosłownie, gdyż piękniejszych sukien jedwabnych jak Chinki, żadna kobieta na kuli ziemskiej nie nosi. Pamiętać trzeba natomiast o nauce samego Buddy, który powiedział:

„Mężczyzna stoi tak wysoko, jak niebo, kobieta tak nisko i głęboko, jak kula ziemiska.“

I tu wszakże praktyka nie jest z teorią w zgodzie, bo oto z wioski okolicznych nadbiega gromada „wysoko postawionych“ istot i możemy naocznie się przekonać, jak się doskonale z „nisko postawionymi“ dziewczynkami bawia, niczem dzieci innych krajów.

Różnica między płciami polega głównie na innym systemie nauczania, które też o stanowisku w świecie decyduje.

W dawniejszych czasach dziewczęta przyuczano do trzech obowiązków jedynie: jako dziecko słuchać ojca, jako żona — męża, jako wdowa — najstarszego syna.

Obu płciom jednakże wpaja się w równym stopniu głębokie przekonanie o wyższości rasy chińskiej i pogardę dla obcych, barbarzyńcami lub diabłami przez Chińczyków zwanych.

W gościnnym domu pana Liu, nie wyczuwamy nic z owej pogardy wszakże; traktują nas jak najlepiej i, jakkolwiek dla braku dostatecznej znajomości języka, z trudem porozumiewać się możemy, dzielimy się zatem swobodnie wrażeniami naszymi między sobą.

Z dziećmi szczególnie bliższa znajomość szybko została zawarta — wspólność języka zastąpiła tu bowiem słodycze.

Starsze dzieci pokazują nam swoje ćwiczenia szkolne, młodsze ściągają stopy drewnianych śmiesznych zabawek, z którymi europejskie dziecko nie wiedziałoby, co począć; kobiety — piękne chińskie kobiety — otwierają na roście szafy i skrzynie, w których podziwiać możemy przepiękne jedwabie i hafty.

Ubrania dzieciinne trudno rozróżnić.

Na nasze pytanie, które dla dziewczynek, a które dla chłopców są przeznaczone, zamilka magle nieprzerwane niemal paplanie Chinek i pani Liu poważnym głosem nadmienia, że coś równie nieprzyzwoitego u niej w domu miejsca mieć nie może.

Niewolno, aby ubranie chłopców i dziewcząt razem w jednej skrzyni leżały. Tu jest tylko garderoba dziewczęca.

Godzina rozstania nadchodzi niebawem. Uściski rąk i pocałunki w Chinach nie istnieją; uśmiechamy się zatem tylko w głębokich ukłonach do siebie i do lektyk naszych wsiadamy.

Spotkawszy na pierwszym zaraz postoju jednego z chińskich mych przyjaciół, pytam ze zdziwieniem, dlaczego właściwie synka pana Liu nie mogliśmy zobaczyć?

— Kiedy ojciec ma ośm córek — szepcze mi Chińczyk w odpowiedzi w obawie, aby który z przyjaciół pana Liu nie usłyszał — nikomu, rzecz prosta, z tem się nie chwali, a tylko wszystkie razem „jednym synem“ nazywa.

Tlum. Jotsaw.



Stefan Jaracz w „Portrecie i Masce“.



Rok IV.

Łódź, dnia 28 sierpnia 1927 roku.

Nr. 35.

## Południe w fabrykach łódzkich.



Przy większych fabrykach w Łodzi istnieją specjalne sale, przeznaczone na jadalnie dla robotników. W godzinach obiadowych, po chwilowym przerwaniu pracy, w salach takich gromadzą się robotnicy, by posiliwszy się, wrócić do swych warsztatów.

Na zdjęciu powyższem widzimy robotników fabryki Tow. Akc. Wyrobu Niści w Widzewie, spożywających obiad w sali jadalnej.

Fot. Aleksander Meyer



## Teatralja.

Z teatralnej prowincji. — Nowe placówki sceniczne. — Ciekawa statystyka. — Moissi w Paryżu. — Teatr Szekspira.

Pomimo skarg i narzekań — w dużej mierze słusznych — na złą dla teatrów, zwłaszcza prowincjonalnych, koniunkturę — nie słychać nic dotychczas o lokalnych kapitulacjach i redukcjach. Wszystkie sceny prowincjonalne, w pełnym rynsztunku, a częściowo pod zmienionym kierownictwem przystępują do przygotowań, związanych ze zbliżającym się otwarciem sezonu, wierząc w szczęśliwą gwiazdę i — lepsze czasy.

Teatr Miejski im. Słowackiego w Krakowie, pod dyktando dr. Z. Nowakowskiego rozpoczyna sezon, jeden z pierwszych, już 1-go września „Balladyna”, inscenizowana na uroczystość powrotu prochów Wieszcza. Z utworów obcych na m. rzewien dyrektora zapowiada po za tem: dramat K. Méré p. t. „Książę Ja” oraz komedię B. Shawa — „Człowiek i nadczłowiek”. Należy zauważyć, że żadna z tych dwu sztuk w Polsce dotychczas grana nie była.

Teatry lwowskie, po opisywanych przez nas parokrotnie perypetjach, objął na sezon najbliższy dyr. Trzcziński, były kierownik sceny krakowskiej, a ostatnio reżyser Teatru Narodowego w Warszawie. Lwowianie żywią nadzieję, że doświadczenie i zapal zasłużonego dyr. Trzczińskiego zdołają wywieść teatralne placówki lwowskie ze stanu wegetacji, w jaki z różnych przyczyn ostatnio były popadły. Do tych nadziei uprawnia również kompromis, zawarty przez nowego dyrektora z władzami miejskimi, które stosunek swój do kwestyj teatralnych oprą w przyszłości niewątpliwie na podstawach, pełnych najlepszej woli i pieczołowitości.

Teatr bydgoski, po śmierci dyr. Dybibańskiego, pozyskał nowego kierownika w osobie b. utalentowanego aktora p. Stomy, b. artysty scen poznańskich i warszawskich. Teatr w Lublinie objął dyr. Grodnicki, który placówką tą kierował już w sezonach poprzednich. Teatr w Grodnie został ostatecznie umiastowiony, a na dyrektora powołano p. Skapskiego. Do skompletowanego już zespołu artystycznego wchodzi dobre i znane siły „Reduty”, z teatrów krakowskich, poznańskich, lwowskich i innych. Otwarcie sezonu zapowiedziane jest na 3-go września. Teatr w Plocku, jak głoszą wieści, obejmie p. T. Skarżyński, który zamierza nie szczędzić wysiłków, celem postawienia sceny plockkiej na możliwie wysokim poziomie.

W Poznaniu święcą ostatnio sukcesy na gościnnych występach pp. Adwentowicz oraz Fertner. Pierwszy znajduje znakomitą rolę do popisu w sztuce Lothara „Syn Casanowy”, drugi nieci płomień wesołości w „Potaszu i Perlmutrze”, amerykańskiej komedji Monte Glassa, granej w swoim czasie i w Łodzi. Nie trzeba dodawać, że występy obu artystów, z których każdy jest gwiazdą w danym zakresie repertuarowym, wywołują wśród publiczności poznań-

skiej prawdziwy entuzjazm, uprzyjemniając jej w sposób wyjątkowy schyłek letniego sezonu.

Zachęcony powodzeniem występów „Reduty”, która ukończyła niedawno swój objazd artystyczny miast i miasteczek Polski Zachodniej, p. Bolesław Brzeski, artysta scen poznańskich, tworzy objazdowy „Teatr Wielkopolski”, celem kontynuowania działalności teatralnej w Wielkopolsce i na Pomorzu. Impreza ta, o ile spotka się z poparciem publiczności i władz miarodajnych, posiada bardzo poważne znaczenie w akcji odniedzania naszych kresów zachodnich oraz rugowania z nich wpływów wędrownych teatrów niemieckich, odznaczających się dużą energią i pomysłowością organizacyjną.

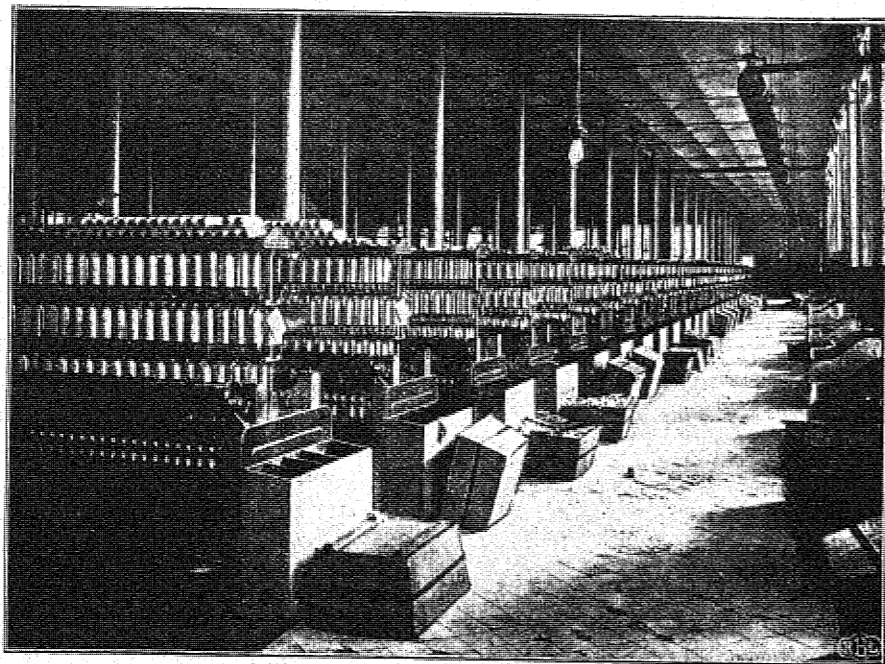
W Warszawie, jak to już notowaliśmy, znikła z widowni artystycznej farsowy Teatr Ćwiklińskiej i Fertnera. W jego niejako następczynie powstaje nowa lekka scena p. n. „Karuzela”, którą kręcić będą dłonie p. Messalówny i Konrada Toma. Nowa scena ma w swym programie głównie rewję oraz operetki, a w skład zespołu wejdą najwybitniejsze siły „Qui pro quo” i „Perskiego Oka”. Siedzibą „Karuzeli” będzie teatr przy ul. Bielańskiej. Jak się wydaje, na brak milej i wesołej rozrywki publiczność warszawska w sezonie przyszłym nie będzie mogła narzekać, bo i wspomniane dwa przybytki figlarnej muzyki nie zamierzają wykreślać się z listy żyjących i działających.

Bardzo interesująca statystykę przeprowadza jedno z pism berlińskich w kwestji produkcji dramatycznej niemieckiej, operując cyframi za sezon ubiegły. Dowiadujemy się mianowicie, że w tym okresie napisano w Niemczech aż — 16,800 utworów scenicznych. Prawdziwy potop!... Z tej liczby zresztą tylko 1/3 została złożona dyrekcjom teatrów, 2/3 zaś pozostały z różnych przyczyn w rękach i biurkach autorów. Prawie

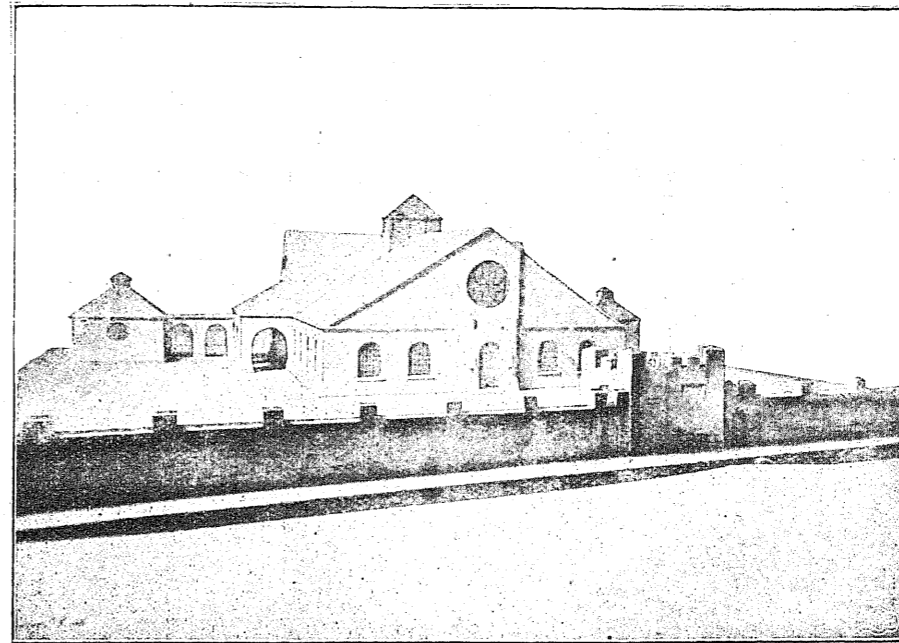
3/4 przesłanych do oceny utworów wyszło z pod pióra nieznanymi i początkującymi autorami. Jeden z największych dramatycznych teatrów w Berlinie „Lessing-Theater” otrzymał w ciągu roku około 3000 utworów, z tego 2,700 od autorów niemieckich, zaś 300 — od zagranicznych. Jak wskazują te imponujące cyfry, o upadku produkcji teatralnej w Niemczech mówić żadną miarą nie można. Chodzi tylko o to, ile materiału prawdziwie wartościowego można wyłowić z powodzi utworów, zalewającej biurka i stoły kierowników literackich teatrów niemieckich. W tym względzie dane statystyczne byłyby z pewnością bez porównania skromniejsze, zestawienie zaś ich z cyframi, podanymi wyżej, pozwoliłoby na zobrazowanie rozmiarów grafo-manistwa, panoszącego się z całą butą nie tylko w Niemczech.

Jeden z teatrów paryskich zapowiada w najbliższej przyszłości występy gościnne Moissi'ego, który grać będzie po francusku Przewidywane są dwie role dla genialnego aktora niemieckiego: w „Henryku IV” Pira-ndelli'ego — tytułowa, i w „Żywym Trupie” Tolstoja — Fedi Protasowa. Występy Moissi'ego wywołały w stolicy nadsekwańskiej zrozumiałe zainteresowanie.

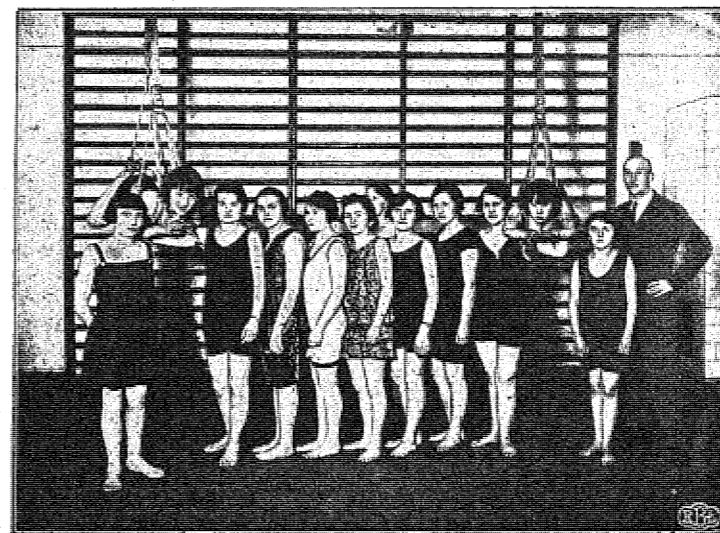
Wspaniale zamierza uczcić pamięć Szekspira komitet pomnika genialnego dramaturga w Londynie. Komitet zakupuje w dzielnicy West - End olbrzymi gmach t. zw. Dorchester-House, aby następnie przebudować go na teatr im. Szekspira. Koszty przebudowy i instalacji mają wynieść około 300.000 f. szt. (przeszło 12 milionów zł.), a dodać należy, że suma ta pokryta będzie wyłącznie z dobrowolnych składek. Można stąd wnosić, że w Anglii nie brak ludzi bogatych, ale jednocześnie też stwierdzić trzeba, że dla tych ludzi bogatych nie obce są sprawy kultury, teatru i pośmiertnej sławy wielkich synów narodu angielskiego. **Delta.**



Sala fabryczna Tow. Akc. Łódzkiej Fabryki Nici, mieszczącej się w Widzewie, z kompletem maszyn nowego typu. Fot. Aleksander Meyer.



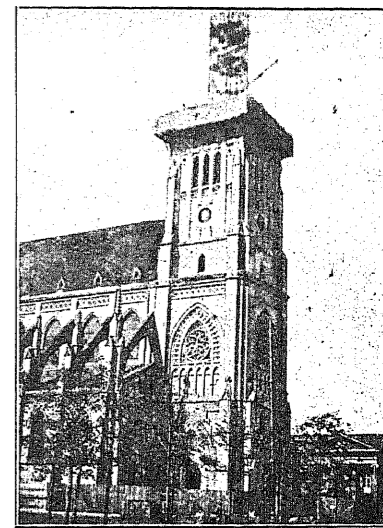
Projekt stacji oczyszczania ścieków, która wybudowana będzie w Lublinku w niedalekiej przyszłości przez Wydział Budowy Kanalizacji i Wodociągów w Łodzi.



Kurs pływacki pań w Łodzi. Na zdjęciu zespół uczestniczek kursu demonstrujących ćwiczenia pływackie. Fot. A. Meyer.



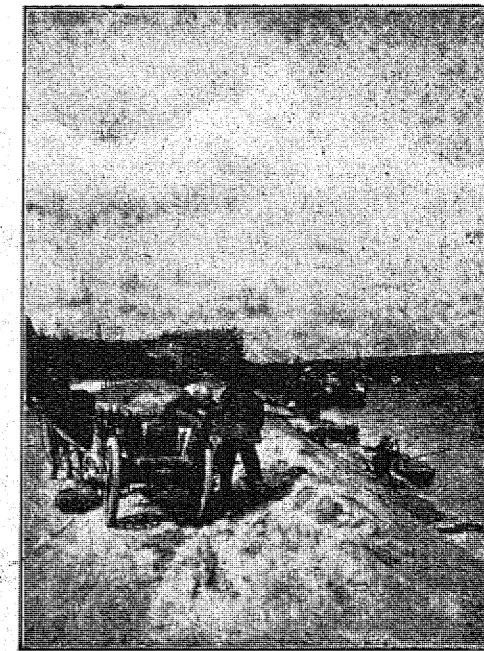
Absolwenci kursów stenograficznych przy Łódzkim Zw. Stenografów systemu Gabelsbergera - Polińskiego z prezesem Związku p Henrykiem Bermanem po środku.



Nadbudowa wieży katedry św. Stanisława Kostki w Łodzi. Na zdjęciu profil katedry z wewnętrznym szkieletem nadbudowywanej wieży.



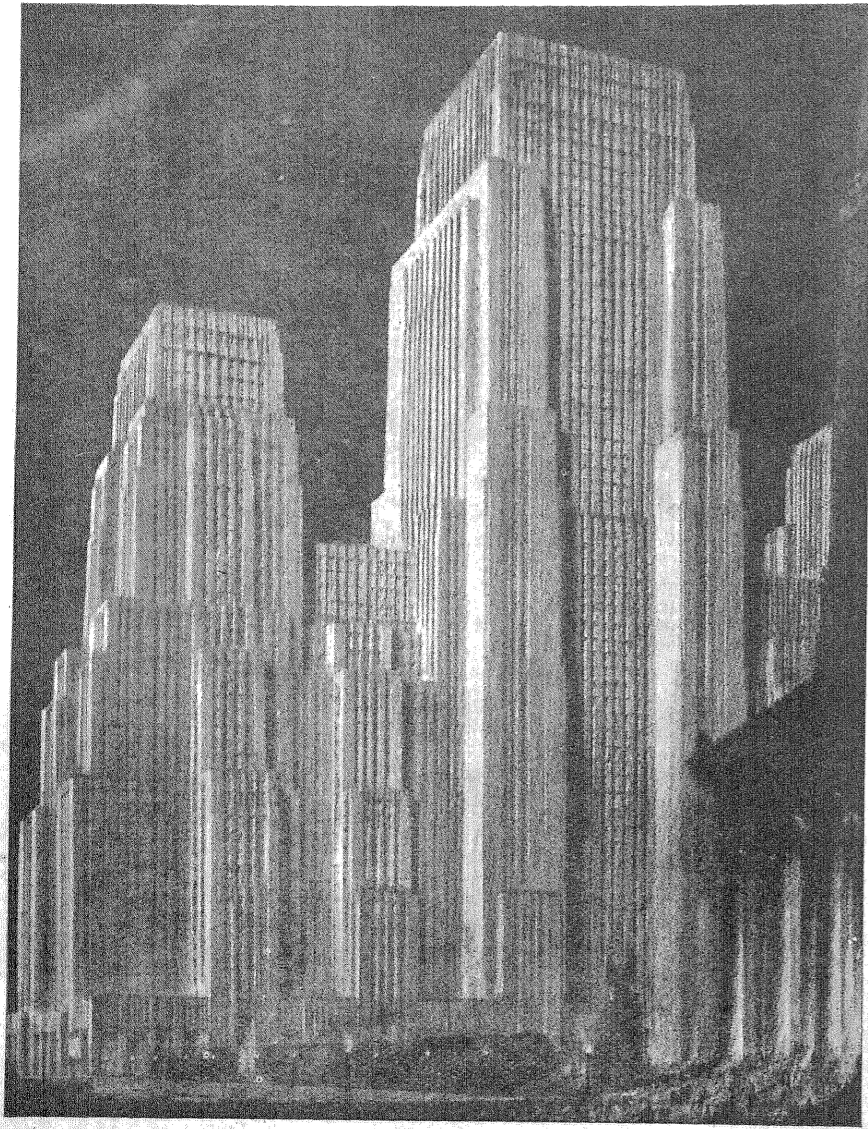
Kaszubskie osiedla rybackie na Helu. Fot. A. Mayer.



Na brzegach Wisły.



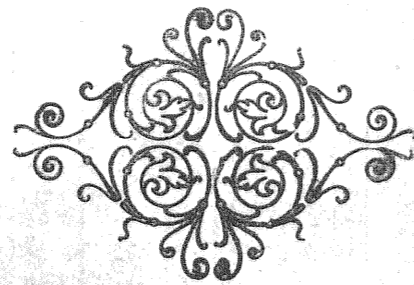




Wizje urbanistów. Olbrzymie drapacze chmur w wymarzonych projektach.



Były mąż stanu w Belgji, Vanderveld w karykaturze.



Strassburg. Widok na górną ulicę miasta.



Z życia Chińczyków. Dentysta w Chinach, przyjmujący swych pacjentów na ulicach Pekinu. W miskach wyrwane zęby, stanowiące swoistą reklamę.

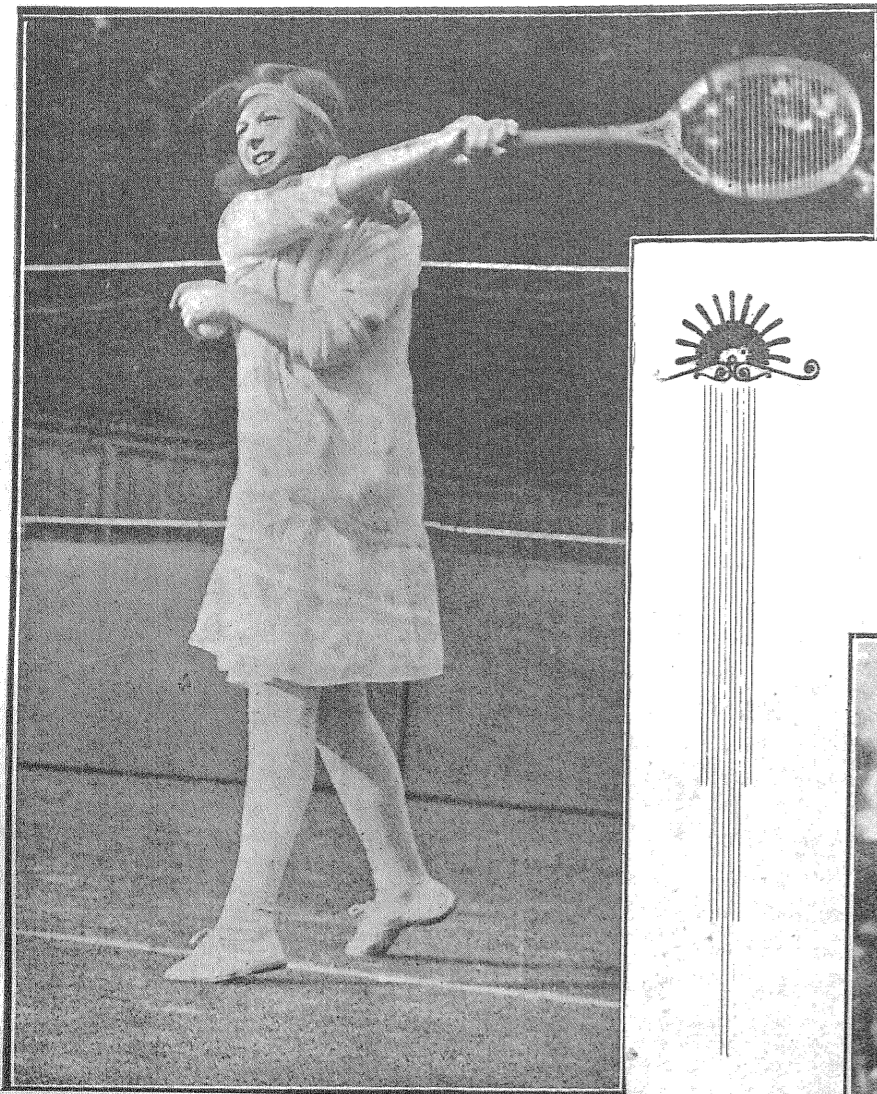


Szwajcarskie alpinistkrojach narodowych.



Zakład fryzjerski w Chinach.





Angielska Lenglen, miss Betty Nuthall, zapowiada wysoką klasę na przyszłość.



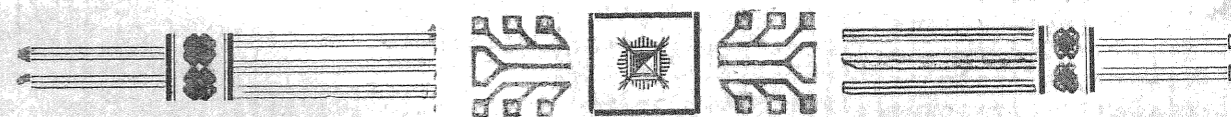
Zwycięzca „Tour de France“, Frantz, witający się ze swą żoną.



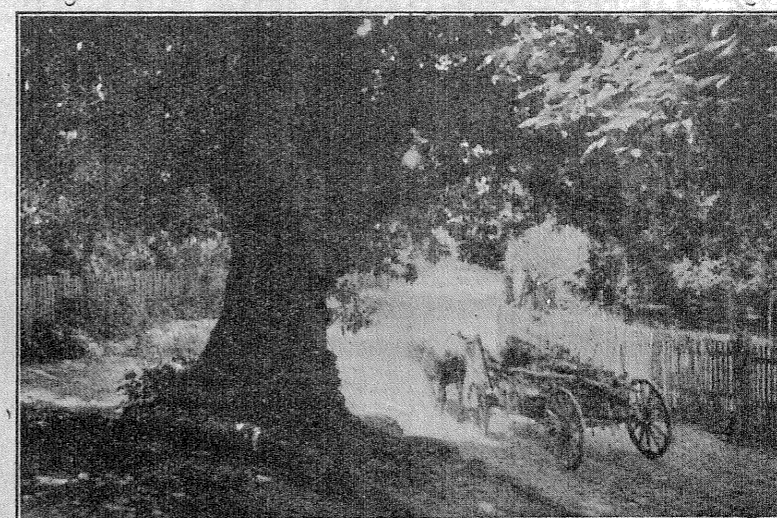
Miss Helena Wills, najlepsza po Zuzannie Lenglen tenisistka świata.



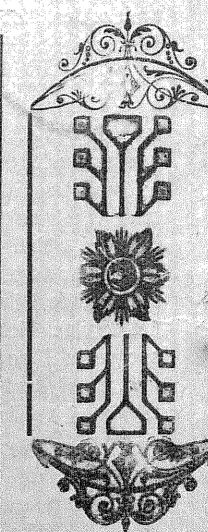
Święto sadzenia drzewek w Hollywood. Absolwentki szkoły filmowej w dniu tym same zajmują się sadzeniem drzewek, z których każde posiada nazwę swej ogrodniczki. Przyszłość tych drzewek, to przyszła sława młodych debiutantek.



„Fiat“ na wyścigach automobilowych.



Idylla wiejska z okolic Łodzi. Samotny dworek w cieniu starych lip.



Premjowana piękność na konkursie w Druśkiewkach w bieżącym sezonie, p. Nelly L.



## Wdowa Hosongli.

Pewnego razu zaproszony byłem do domu jednego z urzędników dworskich cesarza cieniów, który od czasu traktatu z dnia 23 lutego 1904 roku żadnych praw do władzy, a tem samem i zwolenników w kraju nie miał.

Dwór i otoczenie jego boleje oczywiście nad utratą stanowiska, to też wcale się nie żdziwiłem, gdy podczas uczy, którą urzędnik dworski na moją cześć wydał, wbrew koreańskiemu zwyczajowi, nakazującemu gościom muzykę i tańcem podejmować, cicho było i poważnie.

Później dopiero dowiedziałem się, że wcale nie żałoba z powodu utraty władzy była przyczyną uroczystej tej ciszy, ale fakt, że w domu tym „wdowa umierała“.

Jest to bardzo ciekawy i charakterystyczny zwyczaj koreański: żałoba z powodu żyjącej wdowy.

Tylko wyższe sfery w Korei wyznają wiarę Konfucjusza; lud zaś skłania się raczej do nauki Buddhy, która kilka zaledwie dogmatów chińskiego założyciela religii przejęła — świętość małżeństwa i stanowisko kobiety przedewszystkiem.

Żona nie jest poddanką męża jak kobieta indyjska, lecz równorzędna towarzyszką jego, z którym jedna ma dusze. Kiedyż mąż umiera, żona jego żyje na ziemi jako półczłowiek tylko. Wyznawcy Konfucjusza nie palą wdów na stosie, ażeby przez śmierć rozdzielone półówki duszy znowu połączyć dlatego, że miłość rodziców, i matki zatem, jest największym przykazaniem religii Konfucjusza. W innym więc sposób dają wyraz tej wierze, że kobieta po śmierci męża jako półówka duszy tylko żyje na ziemi: zachowują żalobę po „umierającej wdowie“.

W Korei dziewczę bardzo młodo zamaż wychodzi. Tak, jak w Chinach, z którymi Koreańczycy mają wogóle daleko więcej wspólnego, niż z Japonją, z którą są państwowo związani, dziewczyna koreańska w rzadkich tylko wypadkach zna męża swego przed ślubem.

Decydującą sprawą przy zawieraniu małżeństwa jest wzajemny stan materialny młodej pary, stanowisko socjalne, przyjazny stosunek przodków (od śmiertelnych wrogów bezwzględnie wolny) oraz przekonanie rodziców, że ten czy ów mężczyzna, względnie ta czy inna dziewczyna, nadaje się dla córki na męża, dla syna na żonę, aby w przyszłości szczęśliwe, w dzieci bogate i długoletnie małżeństwo stanowiąc. Zwracają zatem, jak z powyższego widzimy, w Korei na charakter i zdrowie półówek małżeńskich. Małżeństwa zawierane są drogą czysto - rytualną. Ślubów cywilnych niema właściwie; jeśli zaś mężczyzna chce mieć żonę poboczną (co nie jest prawnie dozwolone, oficjalnie jednak uznane), musi ją u władz cywilnych jako taką zameldować.

Obrzęd ślubny odbywa się zawsze bardzo uroczysto z muzyką, śpiewem, tańcem

i weselami żartami — panna młoda tylko z niepokojem i ściśniętym sercem w przyszłość patrzy.

Mała Hosongli również wcześniej, bo mając lat czternaście zaledwie poszła „do swojego domu“, jak matka mówi na pożegnanie, oddając córkę zięciowi. Do zamażpójścia dziewczyna bowiem nie ma „domu“. Półówka jej duszy samotnie i bezdomnie błąka się po świecie. Mąż dopiero wprowadza ją do domu i wiąże duszę jej ze swoją na zawsze.

Hosongli wyszła zamaż zupełnie odpowiednio do swego stanowiska. Horoskop, którego się zawsze w Korei radzą, gdy chodzi o małżeństwo w sferach wyższych — wypadł dobrze i Hosongli mogła być ze swego przyszłego losu u boku wysoce na dworze cenionego urzędnika, bardzo zadowolona. Nieby zresztą poradzić na to nie mogła, gdyby nawet zadowolona nie była...

Małżeństwo jednak rzeczywiście na szczęśliwe zakrawało. Hosongli była werną towarzyszką swego męża, a że w pierwszym zaraz roku najgorętsze pragnienie koreańskiej rodziny spełniła, syna jej przynosząc, nie groziło zatem małżeństwu żadne niebezpieczeństwo z zewnątrz, rozwody bowiem w Korei są wogóle rzadkością, a rozstanie z kobietą, która matką została — wykluczone.

Ale rok 1895, który tytu szlachetnym, blisko dworu stojącym Koreańczykom śmierć przyniósł, zabrał i biednej Hosongli męża. Możeby i była dobrowolnie, jak niejedna koreańska żona, za mężem w zaświaty poszła, aby i tam radą być mu i pomocą, ale Hosongli miała wówczas niemowlę przy piersi, trzeciego syna, którego Tien — niebo — w siódmym roku małżeństwa jej darował.

Została więc jako wdowa na tej ziemi: od tej pory „umiera“.

Rok rocznie, synowie jej, rocznicę ojca śmierci święcąc, odmawiają modlitwy żałobne i za żyjącą jeszcze matkę. W domu, w którym wdowa Hosongli mieszka przy synach, niema nigdy muzyki, śpiewu i tańców, wdowę bowiem w Korei uważa się za umierającą kobietę, która powoli do swojej drugiej półówki duszy się zbliża.

Ciche zatem, poważne i pamięci umarłego oddane jest życie Hosongli, która tak wcześniej owdowiała. Nie wychodzi nigdy z domu, nikogo, prócz swych najbliższych, nie widuje. Dom i ogród, piękny, jak wszystkie koreańskie ogrody, ale niewielki, to cały jej świat.

Rozmowa ze służebniemi jedyną rozrywką. Młode jej serduszek było żywo być może, kryjąc ciche zamilczane marzenia o szczęściu i nowej miłości... nikt tego jednak nie słyszał i niktby się nie ośmielił takie myśli jej poddawać...

Wdowa nigdy bowiem powtórnie zamaż nie wychodzi. Jeżeli wyznawca religii Konfucjusza może jeszcze zerwanie małżeństwa, jako objaw słabości zrozumieć, powtórnego zamażpójścia wdowy nie wy-

obraża sobie nawet. Coby wówczas błądząca dusza męża robiła?

Zadna też wdowa w Korei zamaż nie wychodzi, chyba, że ucieknie z kraju gdzieś daleko, gdzie żaden Koreańczyk nigdy już jej nie zobaczy.

Życie wdowy koreańskiej jest powolnym konaniem zatem, stałem zbliżaniem się do przebywającej na innym świecie półówki swojej, ustawiczną modlitwą do Tiena, aby jak najprędsze połączenie ułatwił.

Hosongli jest już dojrzała w latach kobiecia, bliska zapewne spełnienie modlitw swoich, kobieta niemająca już żadnych pragnień prawdopodobnie...

Ja jednak, dowiedziawszy się o jej życiu, z zapartym oddechem miałem odtąd dom biednej Hosongli, która dzieckiem zamaż wyszedłszy, dzieckiem troje dzieci na świat wydawszy, mając zaledwie dwadzieścia jeden lat męża straciła, by przez całe życie cicho i z rezygnacją umierać.

Obawiałem się zawsze usłyszeć krzyk rozpaczny tej za życia pogrzebanej duszy kobiecej; bolesne westchnienie umęczonego serca kobiecego, bo Koreańska wszakże, jakkolwiek w wierze i tradycji narodu swego wychowana, i w nich tkwiaca, jest jednak kobieta! Czująca, o gorącej krwi kobieta, która pragnie, tęskni i nigdy nadziei nie traci, że cud się stanie i Tien zesle jej jeszcze szczęście, które tak prędko straciła!

Ale w domu Hosongli, ilekroć go miałem, zawsze było cicho. Cicho z zewnątrz i z wewnątrz, tak, jak być właśnie powinno w domu, w którym „wdowa umiera“.

Tłum. Jotsaw.



Min. spraw zagranicznych August Zaleski w karykaturze.

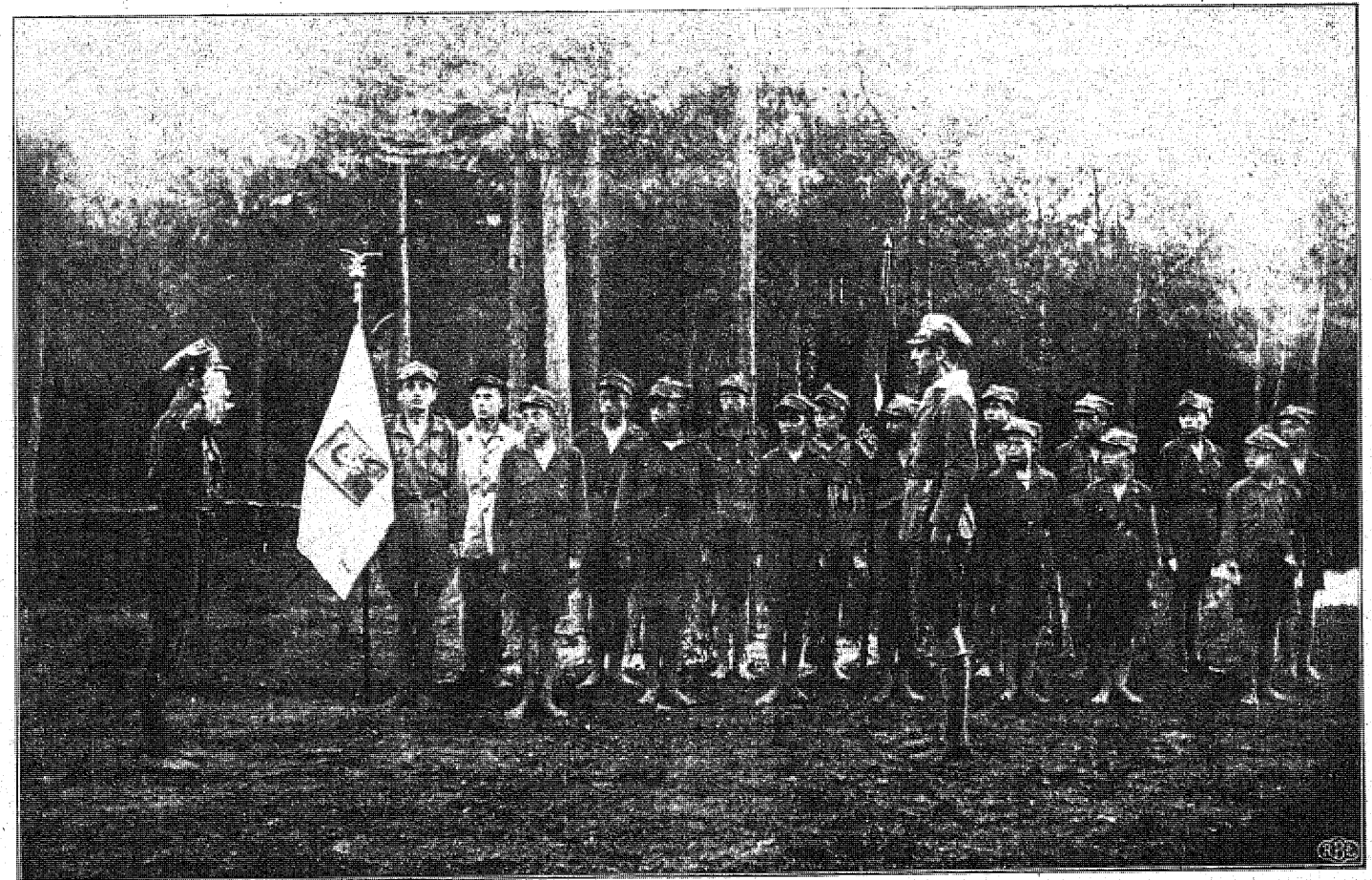


Rok IV.

Łódź, 4 września 1927 roku.

Nr. 36.

## Pod znakiem Sokoła.



Ubiegające lato, aczkolwiek i ono niezbyt dopisało, wyzyskano więcej niż w roku poprzednim, pod względem wychowania fizycznego. Liczne kolonie i obozy letnie są tego najlepszym dowodem. Na całym obszarze Rzplitej rozlokowana młodzież w obozach szeroko korzystała z dobrodziejstw lata.

Do tych młodych spartańczyków zaliczyć należy również młodzież, zgrupowana w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół“, którego gniazdo Łódź 3 rozbiło namioty na okres lata w Beldowie.

Na zdjęciu powyższem widzimy drużynę najmłodszych „Sokołów“ w chwili składania raportu w lasach beldowskich.